

PAP: Ze statystyk GIS wynika, że w ubiegłym miesiącu zmarło po zażyciu nowych substancji psychoaktywnych o połowę mniej osób niż w lipcu. W sierpniu weszła w życie ustawa antydopalaczowa. Czy pańskim zdaniem można już mówić o sukcesie w walce z dopalaczami?

Jarosław Pinkas: Jest zbyt wcześnie na oceny. O sukcesie będziemy mogli mówić dopiero wtedy, gdy odnotujemy stały trend spadkowy zatruć tymi substancjami. Nie wątpię, że to nastąpi, ale dane z jednego miesiąca to za mało, by wysnuwać wnioski. Wspomniana ustawa nakłada obowiązek na podmioty lecznicze zgłaszania przypadków zatruć i zgonów do Państwowej Inspekcji Sanitarnej, więc paradoksalnie nie zdziwię się, jak wskaźniki w początkowym okresie wzrosną. Dane, którymi do tej pory dysponowaliśmy mogą być niedoszacowane. Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę, że sam termin „dopalacz” jest nieodpowiedni. Słowo to nie kojarzy się jednoznacznie źle. Przeciwnie może ono być nawet pewnym usprawiedliwieniem. Rodzice mogą ulec przekonaniom, że dopalacze pomagają np. skoncentrować się podczas nauki; że mogą przymknąć oko, kiedy dziecko mówi, że bierze substancje, które pomogą mu w nauce. Tzw. dopalacze, to po prostu nowe narkotyki. Taka nomenklaturę stosujemy w GIS i mamy nadzieję, że się ona zakorzeni. Rodzice, nauczyciele powinni wiedzieć, że nie ma żadnego usprawiedliwienia dla tych trucizn.

PAP: Są już przepisy, czego jeszcze potrzeba żeby w sposób istotny ograniczyć ten problem?

JP: Penalizacja nowych narkotyków na równi z tymi „klasycznymi” jest rzeczą niebywale istotną. Jeżeli będziemy mieli sędziów, którzy będą skazywać dilerów na wyroki bez zawieszenia, wówczas na rynku będzie mniej nowych substancji psychoaktywnych. Dla mnie, ci, którzy produkują i sprzedają te nowe narkotyki są zabójcami. Jestem jednak przekonany, że walka z nowymi narkotykami to przede wszystkim sprawa dobrej diagnozy, czyli odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie sięgają po dopalacze.

PAP: A jak Pan sądzi? Dlaczego ludzie sięgają po te nowe substancje?

JP: Być może, dlatego, że czują się nie akceptowani w środowisku rówieśniczym; może rodzice mają zbyt mało czasu, aby zająć się problemami dzieci; może nie mają czasu, aby usiąść wspólnie z dziećmi do stołu; może wszyscy w rodzinie funkcjonują z oczami w smartfonach zamiast z sobą rozmawiać; może są zabiegani, a dziecko szuka sposobów ucieczki do jakiejś innej rzeczywistości. Badania pokazują, że młodzież sięga po nowe narkotyki przede wszystkim dla rozrywki, niska cena i łatwa dostępność powodują, że substancje te konkurują np. z alkoholem i innymi używkami.

PAP: W tej sytuacji sama penalizacja nie wystarczy.

JP: Mamy załatwioną sprawę prawną. Teraz musimy postawić na edukację. Jednak na początku potrzebna jest dobra diagnoza, odpowiedź na pytanie, czego brakuje w rodzinie, czy na przykład dziecku brakuje sportu, czy innej umiejętności wykorzystania czasu.

PAP: Statystyki pokazują, że problem nie dotyczy jedynie dzieci i młodzieży. Średnia wieku wśród osób zmarłych po dopalaczach się podnosi. Wśród ofiar znajdują się również 50- latkowie.

JP: Także w tym wypadku trzeba postawić diagnozę, od czego ci ludzie uciekają, bo to za każdym razem jest ucieczka.

PAP: Kto miałby postawić tę diagnozę?

JP: Nie ma jednej instytucji, która mogłaby postawić tamę takiej degradacji społecznej. Mamy socjologów, psychologów społecznych, lekarzy oraz różne instytucje, takie jak: Główny Inspektorat Sanitarny, Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego, Instytut Psychiatrii i Neurologii, wreszcie Biuro ds. Przeciwdziałania Narkomanii. Niewątpliwie sprawa używania nowych substancji psychoaktywnych jest też aspektem zdrowia publicznego.

PAP: Jest Pan krajowym konsultantem z dziedziny zdrowia publicznego.

JP: I dlatego będę próbował te działania scalać i tę diagnozę społeczną przedstawić. Ale to jest praca na wiele miesięcy, a nawet lat. Jestem przekonany, że uda się nam przeciwdziałać tej degradacji społecznej.

PAP: W jaki sposób?

Każdy może coś zrobić. Na przykład lekarze rodzinni czy pielęgniarki środowiskowo-społeczne mogłyby odegrać dużą rolę w mediach społecznościowych.

PAP: A jaką rolę ma GIS?

JP: To jest rola kluczowa, wynika ona z ustawy o Państwowej Inspekcji Sanitarnej. To jest zbrojne ramię ministra zdrowia. Ale też organizacja, która powinna do takich prozdrowotnych działań zachęcać, scalać je i organizować. Jesteśmy najważniejszą instytucją, która ma dbać o zdrowia publiczne.

PAP: Po raz kolejny użył Pan terminu „zdrowie publiczne”. Proszę wyjaśnić, o co chodzi.

JP: Definicja zdrowia publicznego jest prosta, choć znacząco wybiega poza medycynę. Odnosi się do wszystkich, zorganizowanych wysiłków państwa na rzecz poprawy zdrowia obywateli. A więc zdrowie publiczne to nie tylko medycyna naprawcza czy też działania profilaktyczne, np. badania przesiewowe, to także bezpieczne drogi, mądra edukacja prozdrowotna, polityka fiskalna państwa która promuje zdrowe produkty czy usługi, a zniechęca do tych szkodliwych, ale także bezpieczna żywność, czy w końcu cała medycyna stylu życia. A styl życia, to odżywianie, sport, spędzanie wolnego czasu, przeciwdziałanie depresji, czyli szerokie spektrum działań.

PAP: Określił Pan GIS, jako zbrojne ramię ministra. Czy potrzebuje ono nowych narzędzi do swoich działań?

JP: Ważne, żeby Państwowa Inspekcja Sanitarna była postrzegana jako instytucja edukacyjno-doradcza, a nie inspekcja restrykcyjna, penalizująca. Zależy mi na tym, żeby opisywać inspekcję sanitarną słowami: „autorytet”, „wiedza”, „fachowość”, „pomoc”, „edukacja”. Społeczeństwo, które czuje się bezpiecznie, to społeczeństwo dobrze wyedukowane. Ktoś musi tę edukację prowadzić. Jestem przekonany, że za pomocą 190 pracowników Głównego Inspektoratu Sanitarnego oraz 16 tys. pracowników w terenie mogą tego dokonać.

PAP: Zamierza Pan przebudować tę instytucję?

JP: Próbuję przebudować sposób postrzegania społecznego tej inspekcji. Ważne, żeby współdziałała ona dla dobra gospodarki. Przedsiębiorca musi wiedzieć, że przychodzi do niego ktoś, kto mu pomoże w lepszym funkcjonowaniu jego biznesu; sprawi, że jego produkty będą bardziej bezpieczne. Pracownik inspekcji powinien być doradcą przedsiębiorcy.

PAP: Czyli mniej kontroli, mniej restrykcji?

JP: Na pewno powinno być mniej kontroli. Bo obecnie przedsiębiorcy mają kontrolę za kontrolą. Wiele robimy żeby kontroli było mniej. Powstaje Inspekcja Bezpieczeństwa Żywności. Chcemy z nią ściśle współpracować.

PAP: Wspomniał Pan o Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności.

JP: Przez rok zajmowałem się tym zagadnieniem i przedłożyłem premierowi sprawozdanie z mojej działalności. Mówi ono jednoznacznie, że powinniśmy mieć dwie kooperujące ze sobą inspekcje, ale tylko dwie. To wystarczy, aby przedsiębiorcy odczuli ulgę w sprawach kontroli.

PAP: Jakie instytucje mają wchodzić w skład Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności?

JP: Ma to być Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa, Inspekcja Handlowych Artykułów Rolno-Spożywczych. Mam nadzieję, że w jej skład wejdzie również część UOKIK-u, czyli Inspekcja Handlowa - choć to nie zostało jeszcze postanowione- oraz najważniejsza i największa – Państwowa Inspekcja Weterynaryjna. Przy takim układzie w jednej inspekcji mamy lekarzy roślin i zwierząt oraz funkcjonalne połączenie z Inspekcją Sanitarną.

PAP: Komu ma podlegać ta inspekcja?

JP: Uważam, że należy podjąć dyskusję, czy inspekcja ta powinna podlegać bezpośrednio premierowi, a nie ministrowi rolnictwa. Taka podległość sprawi, że będzie ona odbierana, jako inspekcja ukierunkowana na dobro konsumentów. W przypadku podległości ministrowi rolnictwa mamy wrażenie, że jest ona zorientowana na producentów żywności. Nikt na świecie nie powinien żywić wątpliwości, że mamy najlepszą żywność, ale także nie powinien mieć wątpliwości, iż potrafimy ją kontrolować.